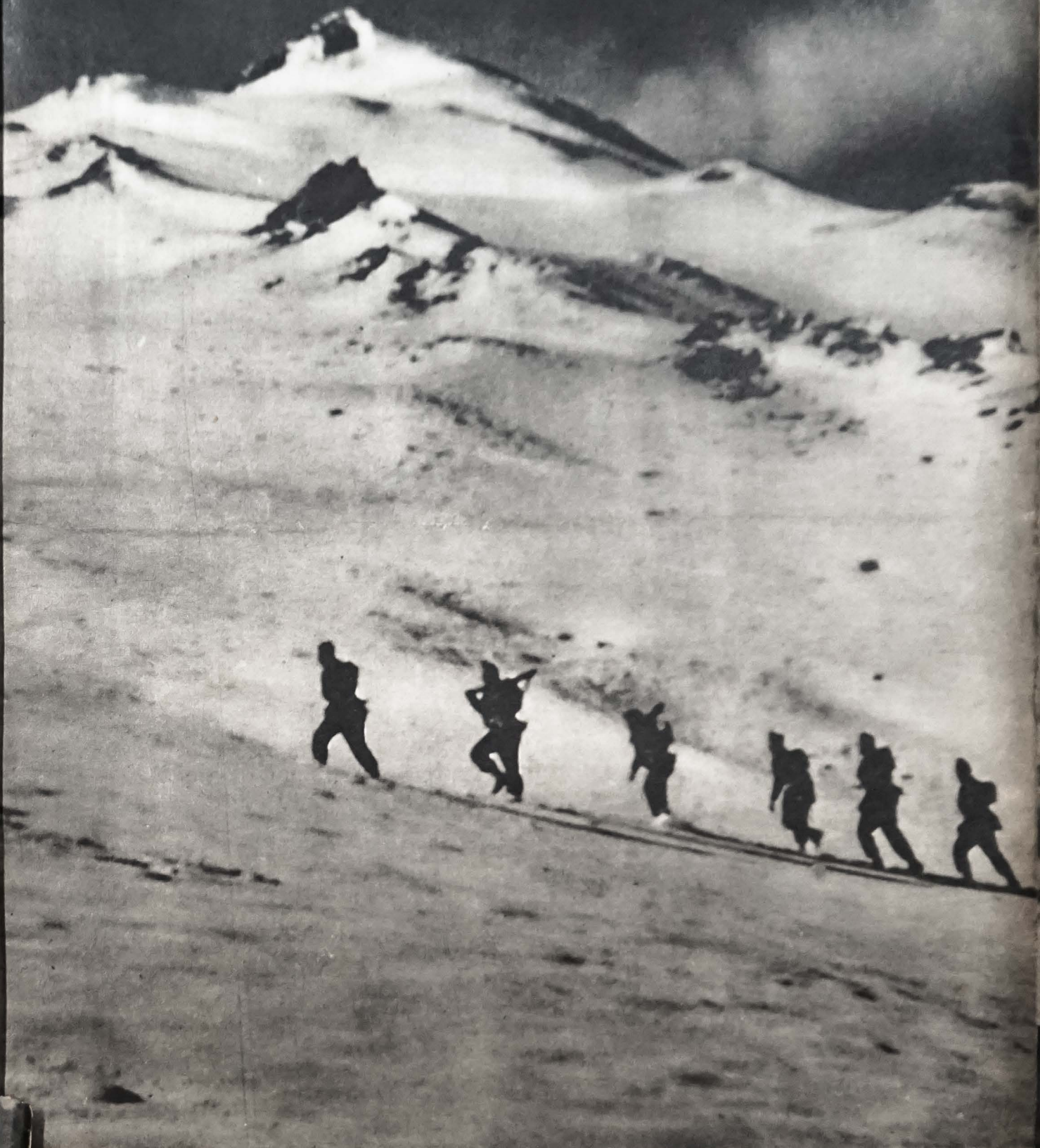


PARADA



OK IV

NIEDZIELA, 13 STYCZNIA 1946 R.
SUNDAY, JANUARY 13, 1946

Nr 2 (72)

NA EGZEMPLARZA: w Egipcie P.T. 2, w Palestynie 25 mls., w Iraku 30 fils., w Iranie 3,5 rls., w Anglii 9 d., w Afryce Wsch. 6 d.,
we Włoszech 12 lirów, we Francji 5 fr., w Niemczech 1 Mrk.



Na ulicy w Monachium

wojny... Z rozwagą odpowiedział: „Mysły jej nie chciały!”
 Na wsi nie styży się tych ostrych krytyk, jakimi miasto wybucha. Chłop jest konserwatywny. Na temat obozów koncentracyjnych w ogóle nie chce mówić. To go nie interesuje. „Polacy na robotach” — uważa to za rzecz normalną, a tylko dzisiaj jako ciężar Niemiec. Politycznie, w jeszcze silniejszym stopniu, niż miasto, nie kwapi się do deklaracji.
 Tutaj najwięcej przechowało się z byłej Rzeszy.

W wypalonych domach raz po raz otwiera się — horyzont. Tu nie ma już nic, bomby kruszące zniszczyły wszystko, zostawiając gruz, ciagle jeszcze uprzążane. Wlokę się ulicami, które kiedyś były śródmięściem Hanoweru, i zmęczony słońcem jesienią szukam piwa. Szukam godzinę — ani jednej piwiarni, ani domu, nic. W drewnianej budzie znajduję ohydny lemoniade, tylko to się tutaj podaje. Wieczorem, w namiocie — kabaret niemiecki, trochę śpiewu i podrzędnej tańca, znajem, że bez jakiejkolwiek satyry politycznej.

Nareszcie — brzozy!



W zbombardowanym Monachium



jeży dzisiaj rozlokowani są w tej samej okolicy, w warunkach dobrych, barakach w Doessel, pamiętają też za — powiedz Niemców!

— Co? Rol się wam jakieg wyjecha ubrania? Nie wróćcie do domu! Dzieci odbudowywać miasta niemieckie, odbudujecie Niemcy!

Goebbels dotrzymałby słowa. Każdy, nie niemiecki trud, dzwignąłby szybko miasta z upadku. Niewolników było dosyć.

Oswobodzeni po wejściu sojuszników Polacy, „displaced persons” mieli być kiedyś, jeszcze niedawno, zatrudnieni przy uprzążaniu gruzów. Nie chcieli, odmówili!

Czy to jest „miech do pracy”, o której tyle się mówiło z wyrzutem w kołach władz sojuszniczych?

W administracji niemieckiej czystkę przeprowadzają władze okupacyjne, generalnie i surowo. Dawny, czy nowy urzędnik łamie się i zgina, jak może i umie, nad kwestionariuszami: 100 pytań, dotyczących przeszłości. Nowa prasa, nowa policja, nauczycielstwo, sądownictwo, administracja... 90 procent kierowniczych stanowisk wymaga nowej obsady. Czy praktyka życiowa może podołać takiemu programowi? Na pewno nie! Trzeba lat, i nie można się dziwić, jeśli przybywać będziemy na gorącym uczynku uczestników dawnego systemu, żarliwych jeszcze obrońców wszystkiego, co zatracą „przestępstwem wojennym” i „koniecznością państwową” Trzeciej Rzeszy, — przytępiając ich w nowym mundurze i w ramach „redukcji”!

Za drutami obozów, dziś istniejących, nie pomieściliby się wszyscy. Siedzą esesmani, wybitniejsi partyjni, w strefie amerykańskiej coraz licznie. Czy społeczeństwo niemieckie rozumie izolację swych rodaków jako karę, słuszną następstwem złego czynu, jako karę porównawczo niesłychanie humanitarną? Temat obozów koncentracyjnych, Dachau, Belsen, Oświęcimia, niemiły dla każdego Niemca, jest jednak ciągle na łamach prasy. Rykoszetem trafia w szerokie masy, i tkwi również w terenie, z którego coraz nowe okropności, popełniane przez Niemców przed kapitulacją, wychodzą na światło dzienne.

Do tych obozów doszła dzisiaj droga śmierci, jeszcze jedna i na pewno nie ostatnia. W Stamsried, przy drodze Regensburg-Pilzno, specjalna komisja dokonała ekshumacji zwłok Polaków więźniów „kacetu” Mauthausen, którzy pędzeni marszem na zachód, tutaj dobiti i wymordowani zostali przez strażników esesowskich; zabici, lub żywcem zagrzebani. Droga śmierci nazwali ten szlak Amerykanie, na wspólnym cmentarzu w Wetterfeld stanie pomnik, w Niemczech nowych, jakie mają powstać, jako świadectwo okresu minionego. Czy uznają to nowe Niemcy?

Historię tej drogi śmierci zna ksiądz niemiecki w Augsburgu — jeden z wielu —, z opowiadań konfratry polskiego i własnych rodaków, zna także Dachau. Ów ksiądz przychodzi do kapłana obozu polskiego z prośbą o interwencję w sprawie esesowców, siedzących tuż obok w więzieniu:
 — Niech ksiądz coś zrobi dla tych biedaków. Polacy obrzucali ich wczoraj kamieniami!

W Augsburgu, w smutnym obozie polskim, mieszczącym się w podziernych koszarach, garstkę dzieci wydobyla z zamiedbania, jedna dziecina, uparta dziewczyna z A. K. Stworzyła im przedszkole, ubogą ponurą izdebkę bez okien, zimną, rozjaśnioną jedynie uśmiechem dzieci. W mieście „nie ma” lepszego miejsca, chociaż doprawdy możnaby je zarekwirować przez władze amerykańskie. W praktyce, wbrew instrukcjom góry okupacyjnej — nie można. Taka tutaj jest polityka.

W niedalekim Regensburgu władze amerykańskie przeniosły dwa tysiące „dipisów” („displaced persons”), w tym znakomitą większość Polaków, do przedmiejskiego osiedla Hermann-Goering, ze zniszczonej fabryki Messerschmidta do porządkich domów. Niemców wysiedlono. Tętuja znów polityka mieszkaniowa jest inna.

W strefie brytyjskiej, gdzie przeludnienie jest istotnie bardzo wielkie, przeniesienie Polaków na miejsce Niemców, polepszenie warunków mieszkaniowych jednych kosztem drugich obecnie jest już niemożliwe.

Niemcy są podzielone nie tylko granicami formalnymi, znaczącymi szlabanami i posterunkami różnorodnej policji — amerykańskiej, brytyjskiej, francuskiej, sowieckiej; podział i podziały, krzyżując się wzajemnie, przebiegają jeszcze licznie wewnątrz poszczególnej strefy, według miast, okręgów, odchylenia praktyki życia od teorii przepisów, według widzimisie, bardzo powszechnego, według kursu walut, i obyczajów czarnej giełdy. Stałych punktów zaczepienia dla trafnej w tym wszystkim orientacji jest nie dużo, trzeba ich pilnie szukać.

W sklepach — jeśli w ogóle są — trudno cośkolwiek dostać, zawsze jednak po śmiesznie niskich cenach — jakąś wyjątkowo okazują, nie na kartki, potrawę, piwo... za trochę fenigów, robocizna tak samo. Nie wynika to jedynie z dyscypliny Niemców, ale również z polityki anglo-saskich władz, które zachowały dawne urzędy kontroli cen, nie zmienionych od 1 maja 1945. Towaru szukać trzeba na czarnej giełdzie, im dalej w zimę, tym mniej za gotówkę i bardziej za żywność. Ceny są różne, od 120 marek za funt starego masła, do 17.000 za całego wołu. Kurs oficjalny: cena 1 dolar — 10 marek, czarnogiełdowy — ostatnio do 150 marek. Częste obławki wytapiają mniej ostrożnych Niemców i posyłają natychmiast na wyrąb drzewa, do uprzążania gruzów itp.

Niemcy rozgrzebuja uliczne śmietniki



Ciekawa jest wielka ilość Niemców, władających dobrze językiem angielskim, — wynik dobrego užitkarnie programu szkolnego, oraz przygotowania sił ludzkich na okupację terenów anglosaskich. Zamiast zwycięstwa nadeszła klęska, ale Niemki obsadzając dzisiaj bardzo liczne stanowiska w okupacyjnych urzędach, dobrze pracują, rzecz prosta nie dla obcych.

Ruchem miejskim regulują, na rogatkach przemycanej żywności szukają, coraz szerzej wiew już obejmują nowi policjanci, z białą przepaską na ramieniu i napisem: „MR Polizei. MR — to skrócone „Militärregierung”. Na północy pod zarządem brytyjskim są nadzwyczaj zdyscyplinowani, salutują skwapliwie oficerom sojuszniczym, bał nawet samochodom wojskowym. Trudno zaprzeczyć, że z dużą satysfakcją przyjmują tę postawę policjantów niemieckich, z którymi mam jeszcze stare, przedwojenne porachunki.

Utarła się już opinia, że „reka-wiczki” amerykańskie, obejmujące Niemców, są bardziej miękkie i przyjemne. Ocena nie we wszystkim — jak zobaczymy — słuszna, ale ogólnie można ją przyjąć. Nie znaczy to jednak, by w razie potrzeby Amerykanie nie wyrzucili pasażerów niemieckich z wagonu, potrzebnego dla swych żołnierzy, w nocy, na przebieżonej stacji. Zdarzyło się to kiedyś, na pewno nie raz, w październiku, na stacji w Kasel, przy głuchym milczeniu tłumu, zalegającego ruiny dworca.

Polacy, również „dipisy”, są i mają być traktowani jako „allied persons”. Często tak jest. Nie znaczy to jednak, by tej samej nocy, na tym samym dworcu (22 października b. r.) MP nie miała wyrzucić także Polaków, z wagonu dla „allied” wojskowych. Wyrzucił Nie tylko „dipisy”, którzy istotnie w takim wagonie nie powinni jechać, ale również oficerów polskich, byłych jeńców, noszących mundur polski. Z postawy przypatrujących się temu pasażerów niemieckich aż bije Schadenfreude. Dobrze im tak, Polakom...

Nie jest to odosobniony wypadek. Uratował się w nim i pojechał dalej wojskowym wagonem jeden z polskich „dipisów” za cenę kilku francuskich zdań, popartych wybiegiem: „Je suis Belge”.
 Polaka wyrzucili. „Belg” pozostał.



W drodze na Brannar

W zrabowanym na gruz i miał Darmstadtzie, reszka wielkiego domu nosi jeszcze wielki napis: „Sieg um jeden Preis”. Stary slogan doskonałe harmonizuje z nową prawdą. Nie wymyśliłby nikt mocniejszego afisa dla tego widowiska, jakim są obecne Niemcy. „Trauerspiel” wrywa się współpasażerowi niemieckiemu, i szukamy... Faktów i ludzi.

Gruzy na ulicach Monachium





Około 1000 metrów trasa startowa nad zatoką gibraltarską, długości 1050 metrów, nad budowę której pracowali setki ludzi ponad rok, pochłonęła pół miliona ton kamienia. Widok z lotu ptaka

SKAŁA GIBRALTARSKA UJAWNIA TAJEMNICE

Rano o godz. 6.15 dnia 8 grudnia 1942 r. gen. Eisenhower z kwatery operacyjnej w głębi Gibraltaru, wysłał rozkaz zamknięcia drogi, prowadzącej do Hiszpanii. Robotników hiszpańskich, udających się do strefy brytyjskiej, zmuszono do zatrzymania

się przed barierą, skąd mogli obserwować jedno z najbardziej osobliwych wydarzeń wojny. Dokładnie o godz. 8 wzbijała się w niebo grupa Hurricanów, aby pierwsza z sił powietrznych wziąć udział w operacji wojennej, która miała zawrócić na biegu hi-

storii. „Operation Torch” — anglo-amerykańskie lądowanie na północno-afrykańskim wybrzeżu, w Algierze, Oranie i Casablance było w toku. W owych dniach samoloty „rzucano” z Północnego Frontu (tak nazwano lotnisko gibraltarskie) do patrolowania nad przestrzenią lądowania, bądź do zwalczania samolotów nieprzyjacielskich. W pierwszych czterech dniach tej operacji, ruch na lotnisku gibraltarskim osiągnął liczbę 1274, to znaczy, że przeciętnie co 7 min. 54 sek. startował względnie lądował samolot.



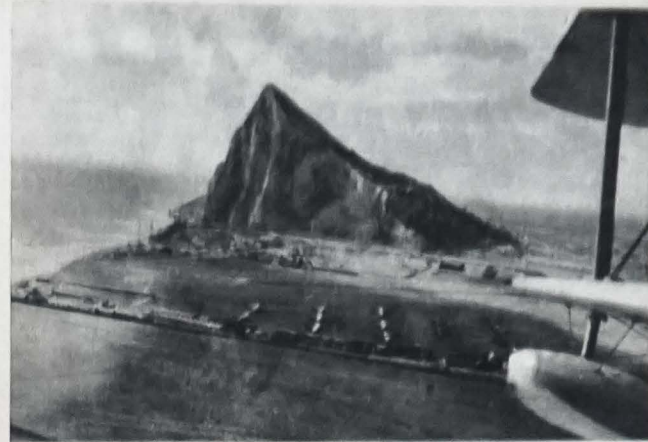
Przechadzka ulicami Gibraltaru wymaga wysiłku

kontynentem hiszpańskim piaszczystym pasem międzyziemskim, mającym zaledwie około 300 metr szerokości i z którego znaczna część to „baza neutralna”. Otóż Gibraltar w zaraniu wojny był widownią niezwykłego wyczynu technicznego — a mianowicie zbudowania trasy startowej (runway) na morzu. Oczywiście było, że Gibraltar odegra wybitną rolę w wojnie, tym bardziej że zagrożone zostało Morze Śródziemne. Budowa lotniska dla wielkiej ilości nowoczesnych samolotów stała się koniecznością. Nie ulega wątpliwości, że Niemcy orientowali się w tej sprawie, gdyż wiadomości zdradzał zapamiętany aktywność. Agenci niemieccy z hiszpańskiego miasteczka La Linea, odległego o 4 km, bez ustanku przez ostre lornety obserwowali wybrzeże. Hitler, wiedząc, że dokonywane się coś ważnego, napierał na Hiszpanię, aby przystąpiła do wojny i zaatakowała Gibraltar. Franco okazał się jednak nieustępliwym.

Gibraltar stał się bazą nie tylko dla osłony myśliwskiej, potrzebnej do operacji w Algierze, ale i dla konwojów morskich, zaopatrujących Malte w czasie jej największego zagrożenia oraz miejscem postoju dla samolotów, kursujących między Anglią a Atryką Północną i Środkowym Wschodem. Ciężko obciążone samoloty, z konieczności lecące daleko nad Atlantyk w celu zwalczania myśliwców npla startujących z Francji — mogły obecnie korzystać z lotniska w Gibraltarze. Tu mogły nabrać paliwa lub zabrać pilnych pasażerów i pocztę do Egiptu. Gdy w marcu 1944 r. udałem się do Anglii, aby uczestniczyć w mających nastąpić operacjach w Europie, przelatywałem przez Gibraltar i nigdy nie zapomnę mego zdumienia na widok wielkiej trasy startowej, wybiegającej daleko nad zatokę. W owych dniach wszystko, co się tyczyło cieśniny, było „ściśle tajne”, ale obecnie można już coś niecoś powiedzieć o tym, czego dokonano tu około 4 lat temu.

Dziwne i trudne do wyjaśnienia, że los ostatniej wojny uzależniony był od akcji brytyjskiego admirała, który zajął cieśninę 240 lat temu. Przed rokiem 1704 Gibraltar nie wzbudzał pożądanego, aż został zajęty przez przywódcę maurytańskiego Tarik el-Ibn-Zeyed, który cieśninę nazwał Gebel Tarik (Góra Tarika).

Od czasu, gdy Sir George Rooke zajął Gibraltar, Anglia panowała nad nim zawsze, niekiedy — mimo długo-



Zdjęcie lotnicze części trasy startowej ze sterzcącą nad nią piramidelną skałą



Szpital podziemny zwraca powszechną uwagę

trwałego oblężenia. Były okresy, że Gibraltar stanowił cierni w stosunkach anglo-hiszpańskich i niewiele przemawiało za możliwością utrzymania go nadal, tym bardziej że w czasie pokoju zdawało się, że cieśnina posiada mało istotnych strategicznych i handlowych wartości. Jednakowoż Gibraltar stał się symbolem potęgi Wielkiej Brytanii i — nie tylko symbolem, gdyż w roku 1940 był jej najbardziej wysuniętą placówką. Do okresu przedwojennego na wybrzeżu nie było lotniska, a skrawki ziemi, do których Anglia mogła rościć legalne pretensje, pokryte były polem wysycowym i ogródkami.

Podczas I-jej wojny światowej miała ilość wodnopłotowców operowała z zatoki. Nie oddały one wielkiej przysługi, z wyjątkiem, być może, poznania trudności lotu. Wiatry, wiejące nad cieśniną (zwane Levanter) wytwarzają tu zdradliwe wiry. W roku 1934 postanowiono zbudować lądowisko na wybrzeżu i Sir Alan Cobham przybył do Gibraltaru w charakterze rzeczoznawcy. Jego zdaniem tereny dostępne były niewystarczające do realizacji planu. A jednak skrawek lądu, który znakomity lotnik uważał za nieodpowiedni dla dawnych, wolnych maszyn, przystosowano do użytku dla największych maszyn świata.

Decyzja przedsięwzięcia prac technicznych przyjęta została w ostatnich miesiącach 1940 roku. W najbliższym czasie ponad pół miliona ton kamienia wyrąbano z tuneli i zbórz góry i odstawiono ciężarówkami do wybrzeża, przeciętnie po 6000 ton dziennie. Do Gibraltaru przestano specjalistów i nowoczesne maszyny; pracowano bez przerwy w dzień i w nocy, a gubernator Lord Gort przynaglał do największego wysiłku. Dzięki ogromnej pracy lądowisko na morzu zostało zbudowane, osiągając w kwietniu długość 820 metrów. Niektóre samoloty, np. Wellingtony, mogły już zeń startować, choć było ono zbyt krótkie dla niektórych typów samolotów. W roku 1942 lądowisko zostało przedłużone do 1050 metrów. Zainstalowano specjalny system świateł samoczynnych.

Prace budownicze zniosły pole wysycowe i malownicze ogródki, ale nie można było inaczej zbudować lądowiska, jak na wprost drogi wiodącej do Hiszpanii, którą codziennie 7000 robotników przybywało do pracy. W ciągu lata 1942 trwała gorączkowa praca, przy ciągłym stukcie i turkocie maszyn, huku wybuchów i warkocie wozów ciężarowych. Powietrze nasycone było kurzem; życie stało się nieznośne dla ludzi, nie znajdujących ani ciszy, ani odpoczynku. A praca postępowała, aż została ukończona — właśnie przed rozpoczęciem „Operation Torch”.

Życie w Gibraltarze, rozstrojone w czasie wojny, wróciło obecnie do normalnego stanu. Rzecz znamienista, jaką zauważyłem 20 miesięcy temu i którą stwierdzam i obecnie — to fakt, że sklepy gibraltarskie są pełne towarów, sprzedawanych po przystępnych cenach, towarów, z których wiele jest niedostępnych w Anglii. Okazuje się, że są dwie przyczyny tej obfitości. Po pierwsze — podczas wojny, gdy propaganda niemiecka głosiła, że Anglii gonił ostatkami, pożądane było wysyłanie wszelkiego rodzaju towarów do tego małego miasteczka, w którym tysiące Hiszpanów mogły je oglądać i nabywać, a przy tym rozgłaszać

o brytyjskich zasobach po sklepach Algieru i La Linea; po wtóre — oddziały, stacjonujące w Gibraltarze w czasie wojny, obosobnione i ścięzione na małym obszarze, miały dość ciężką służbę, tak że należało im bodaj w ten sposób ułatwić życie.

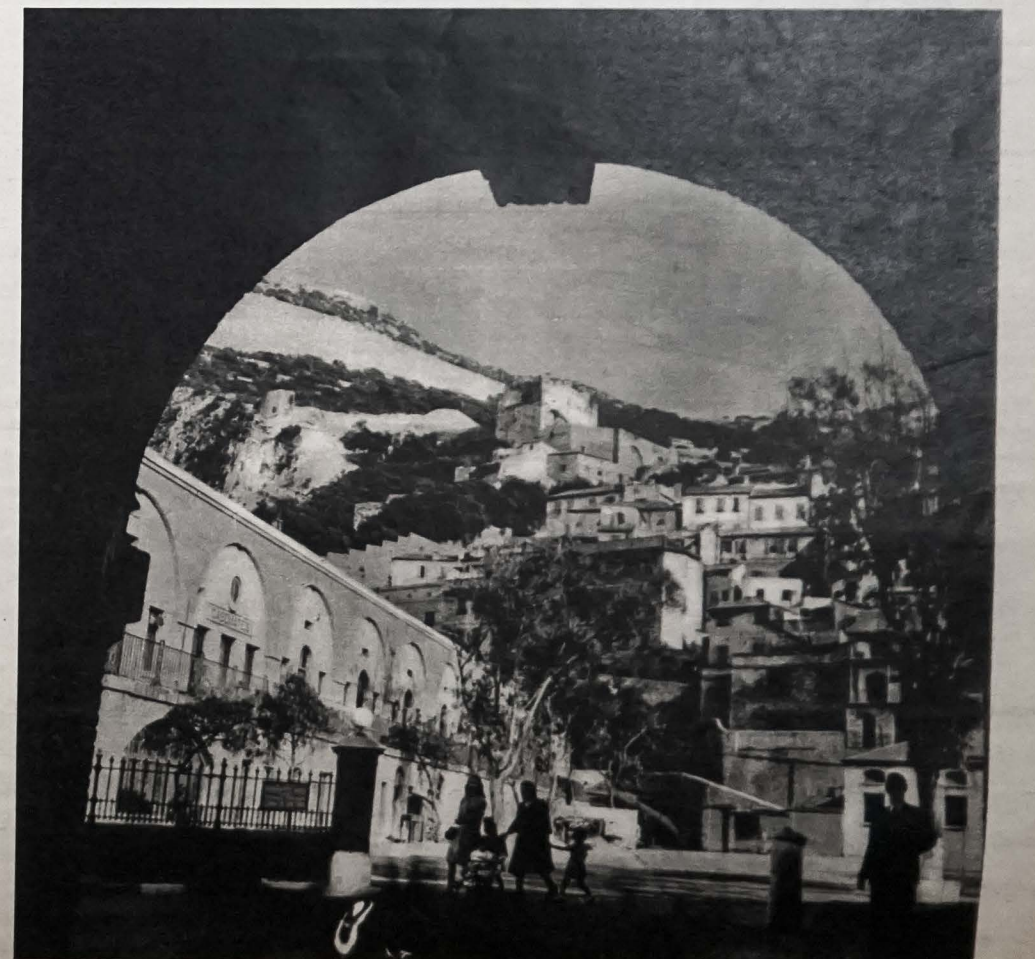
Obecny garnizon Gibraltaru jest o wiele mniejszy od dawnego, wojennego, zaś niektóre przepisy bezpieczeństwa zostały złagodzone. Oglądałem fragmenty fantastycznego „świata podziemnego” tuneli, którymi powiązane zostało wybrzeże skalne: stacje generatorów, szpitale, pralnie — wszystkie zbudowane w litej skale. Jeździłem wzdłuż niezwykle długich, krętych korytarzy i wdrapywałem się na strome szczyty gór, skąd rozciągają się wspaniałe widoki. Widziałem działa wielkiego kalibru w tak urwistych miejscach, że zastanawiałem się, jak je można było tam umieścić. Poza tym widziałem wiele rzeczy, o których nie wolno pisać.

Wojna — nie wojna, Gibraltar jest ciągle fortecą.

J. Murry Smith

Kuk starego akweduktu ogarnia ramionami miasto

Tunel — jeden z wielu, jakimi powiązany jest Gibraltar



Na zdjęciu Gen. G. S. Patton w towarzystwie Dowódcy 2 Korpusu, Gen. Wł. Andersa w czasie wizyty w 2 Korpusie jesienią 1943 roku

21 grudnia ub. roku zmarł w szpitalu w Heidelbergu, na skutek odniesionych ran w wypadku samochodowym, gen. George S. Patton D. S. C., dowódca XV Armii amerykańskiej. Szesćdziesięcioletni generał, oficer kawalerii, należący do czołowych dowódców wojsk alianckich, otoczony był za życia legendą ze względu na swą dzielność i brawurę, jakie wykazał w obu wojnach światowych. Gen. Patton dowodził między innymi inwazją na Maroko, walczył na Sycylii i dowodził III Armią amerykańską w zwycięskim marszu na Niemcy.

W BARLECCIE i TRANI



Widok ogólny osiedla w Barleccio



Zadowolona minka małej mieszkanki osiedla w Barleccio



Osiedle w Trani — sarenka przyjechała z naszymi uchodźcami z Bewarii



Barletta — przy posiłku

W poprzednim numerze „PARADY” (Nr 71 z dn. 1 stycznia) zamieściliśmy obszerny raport z osiedli naszej ludności we Włoszech, w miejscowościach Barletta i Trani. Obecnie publikujemy serię zdjęć obrazujących życie naszych rodaków w obu osiedlach.

W dniach 15 i 16 grudnia ub. roku osiedla odwiedził Dowódca 2 Korpusu Gen. Dyw. Władysław Anders.



Barletta — pracownia szewska



Straż obywatelska kobiet w Barleccio



General Anders wśród dzieci osiedla



Obóz polskiej ludności cywilnej w Trani. „Polska w 1939” — rzeźba Wrońskiego



W pracowni dekoracyjnej YMCA



W pracowni trykotarskiej



W czytelni YMCA w Barleccio

Najmłodsi witają Dowódcę 2 Korpusu



Barletta — wnętrze mieszkania



Barletta — ogród osiedla

W numerze 25 (69) „Parady” z dnia 3 grudnia 1945 zamieszczone w przeddzie artykuł zatytułowany...

wszystkich rabić!

egzekucji. Wśród nich dobry znajomy, nauczyciel z okolic Bożego nad Piłicą. Stałem jak przykuty, nie znajdując nawet słowa dla niego...

Kruk-Rostanicki

Nie zdarzycie nas

Prawie to udało! Chcił pamiętać Jasia... Nie przypuszczaliśmy wtedy, że będą dzieci z Jasiem los obozu śmierci...

trzydziestu granitowym kamieniołom i zbudował obóz... polskimi w 90 procentach, pod nadzorem trzypięciu...



Matka Boska Armii Krajowej

Matka Boska A. K.

Nie na świętym świecisk obrazie, Nie z legendy Cię wzięto wiekowej... Matko Bosko Armii Krajowej!

JÓZEF

kademie zbrodni i rozpasania. Specjalnie cyniczne orgie wyszukiwano dla Żydów. Ci byli w Gross Zgroten skazani na krótkie, ale potworne męczarnie...

TADEUSZ WITTLIN

TRUBADUR WARSZAWY

„Pudełkiem malutkim, Albo proszkłem z Kogutkiem”... rteć Réamure'a, staro francuska piosenka o zegarmistrzu Jean Franasse...

wstałą gdzieś na przedmieściu piosenkę, którą Rentgen wnet skwapliwie zapisywał... Nie mniej uwieczniono w niewyszukanych strofach pewien słynny pojedynek na Białanach...



Uczniowie szkoły detektywów dokonują pomiarów na „mleczce zbrodni”



W laboratorium chemicznym detektywi zapoznają się z różnymi rodzajami narkotyków



„Sąd” złożony z uczniów Szkoły Detektywów ma na celu zaznajomienie ich z techniką przewodu sądowego



Spektrograf — aparat do badania farb, metali itd. w celu ustalenia ich składu i pochodzenia.

cy. „Nauka pomaga nam wydatnie”, twierdzi insp. Rundle, „wzmocnia niekiedy nowymi ogniwami łańcuch poszlak, ale mimo swej zmienności, nie może ona zastąpić pospolitej, praktycznej pracy wywiadowczej”.

Założenie to jest podstawą nauczania. Medycyna, balistyka, chemia, nauki psychiatryczne i psychologiczne — wszystko to pomaga detektywowi, ale zasadniczym czynnikiem są jego istotne kwalifikacje, jak zdolność obserwacji i wnioskowania, umiejętność wykorzystywania warunków i rzeczowego postępowania. To są kwalifikacje, które szkoła stara się rozwinąć. Ponadto uczniowie zapoznają się z prawem karnym i procedurą sądową. Praktycznie szkolą się w wykrywaniu wszelkiego rodzaju przestępstw: zabójstw, rabunków, gwałtów, defraudacji, kradzieży, poznają działalność fałszerzy, oszustów, złodziei, paserów, handlarzy narkotyków itd. Po zakończeniu kursu uczniowie składają egzamin końcowy.

Inspektor Rundle oprowadził mnie po szkole, abym mógł przyjrzeć się pracy uczniów. Widzieliśmy grupę, prowadzącą właśnie dochodzenia, dość realistycznie zamieszczonym w morderstwie. W krzewach leżała kobieta-manekin, która miała suknie w nieładzie, twarz — we krwi: wszystko wokoło wskazywało, że toczyła się tu zacięta walka. Z doraznie zebranego materiału mieli uczniowie ustalić rodzaj i okoliczności przestępstwa. Następnie każdy poszczególnie sporządził wyczerpujący protokół z założeniem wniosków i ich uzasadnienia.

W sali wykładowej dr James Davidson — dyrektor laboratorium policyjno-sądowego mówił właśnie o zewnętrznych i wewnętrznych obrażeniach cieleśnych. Prelegent, ilustrując wykład czaszkami i kośćmi ludzkimi oraz bronią i łepymi narzędziami, pouczał jak ustalić rodzaj zadanej rany. W dziale chemicznym G. G. Daubney pokazał mi bogatą kolekcję narkotyków: opium, morfinę, kokainę, heroinę, papierosy haszyszowe. „Wszystko co pan tu widzi, pochodzi z obław”, powiedział Daubney. „Nie zamierzamy tu robić z detektywów chemików, ale uczymy jak i w jakim stopniu chemia może im pomóc w wykrywaniu przestępstw, bo niekiedy nawet nieznaczna grudka popiołu może stać się ważkim dowodem, gdy zostanie poddana analizie chemicznej”.

W ciemnej sali laboratoryjnej widziałem zaskakujące przykłady, jak nauka może pomóc w dochodzeniach policyjnych. Laboratorium jest zaopatrzone w najnowszą aparaturę. Promienie ultrafioletowe służą tu do ujawnienia niewidocznych śladów na papierze, suknie i innych materiałach, bądź do wykrycia minimalnych ilości chemikaliów; promienie infraczerwone — do ujawnienia ścieżek, mazań, fałszywych podpisów; promienie Roentgena — do badania tekstury metali, kości etc. W innej sali widziałem detektywów przy spektrografie — aparacie używanym do fotografowania przedmiotów w celu ustalenia ich wewnętrznej budowy.

Podczas całego kursu trwa usilna praca śledcza: praca nad interpretacją śladów, stwierdzeniem tożsamości ofiar i wykryciem sprawcy — zmuszone zsumowanie cząstek poszlak. I trening w terenie. Zwyczajny człowiek nie potrafi na przykład rozpoznać przestępcy, nawet jeśli otrzyma jego dokładny rysopis, detektywi — uczą się odnalaść poszukiwanego człowieka na ruchliwej ulicy, poznać po cechach, których trudno lub niepodobna zmienić — po kształcie uszu, ruchach, chodzie itp. W szkole, gdy detektyw schwyci „przestępcę”, przedstawia jedynie obiektywne materiały dochodzenia, opinię o winie wydaje „sąd”, złożony z uczniów, którzy w ten sposób przechodzą przez szkolenie sądowo-karne.

Absolwenci kursu detektywów są najzupełniej przygotowani, psychicznie i fizycznie (uczą tu także walki wręcz), do mocowania się z najbardziej przebiegłymi i niebezpiecznymi przestępcami. Każdy z nich jest pomny, że przystępuje do walki ze złem, godzącym w spokój i bezpieczeństwo uczciwego obywatela.

DAVID FLOCKHART

Table with columns for 'Poszukiwany' and 'Poszukiujący'. It lists names, birth dates, and addresses of individuals involved in the search process. The table is organized into multiple columns and rows, with some entries including family names and specific details.

Osoby, które odnajdą swe nazwiska w niniejszym Wykazie Nr 19 (Cz. I), zachęcamy do zwrócenia się listownie do Centrali Poszukiwań PCK (Polish Forces Middle East 55), postępując się następującym wzorem pisma (można wyciąć, wypełnić i przesać)

Form for reporting found names. It includes fields for 'Moje nazwisko, imię i ew. stopień', 'Rok i miejsce ur.', 'Mój adres', 'Data', and 'Podpis'. There are also checkboxes for 'Jednocześnie załączam Postal Order' and 'Jednocześnie załączam Postal Order'.

